

## **Wenanty Katarzyniec nadchodzący święty** **Jan Dobraczyński**

W maju przyniosły gazety wiadomość, że w związku z nadchodzącym 30-leciem śmierci Wenantego Katarzyńca rozpoczyna się jego proces beatyfikacyjny.

Jeszcze więc jeden kandydat na świętego! Nie braknie nam ich ostatnio. Aż trudno zrozumieć co sprawiło, że ostatnie sto lat – od połowy ub. stulecia – tak u nas, w Polsce, obfituje we świętych. M. Franciszka Siedliska, M. Urszula Ledóchowska, M. Maria Angela Truszkowska, Aniela Salawa, Malczewska, S. Faustyna, O. Kolbe, ten młody powstaniec Staś Leszczycki-Przywara, harcerz i bohater, zamordowany przez Niemców na Ptaszkowej, Br. Albert Olszakowski – że wymieniam tych tylko, którzy mi w tej chwili przychodzą na pamięć. A teraz znowu Katarzyniec.

Nieraz już zdarzało mi się mówić, że różni są święci. Można by do wszystkich podziałów dodać jeszcze jeden: są święci rozumiali w swojej świętości i święci niezrozumiali, ponieważ nie wiemy dlaczego są świętymi...

Święty, który robi cuda, który odgaduje przyszłość, który dokonuje na sobie nieprawdopodobnych umartwień – to święty, który wydaje nam się prawdziwy. Nie pojmujemy go jako człowieka, ale czcimy go jako świętego. Ale są święci, którzy nie robią za życia cudów, nie wieszczą przyszłości, nie czynią nic nadzwyczajnego w zakresie umartwień. Właśnie choćby taki Katarzyniec... Całą jego historię można ująć w parę wierszy: Urodził się w 1889 r. we wsi Obydowie; od małości chciał się modlić i postępować dobrze, a że w tej materii chce to znaczy dostać Łaskę – więc mały Józio od dziecka odbijał się od rówieśników swym zachowaniem. Nie tylko odbijał. Z natury posiadał umiejętność prowadzenia drugich – swoich kolegów z pastwiska. Uczyl ich, głosił do nich „kazania”, bo już wcześniej powziął decyzję, że będzie księdzem. Co postanowił, do tego konsekwentnie zmierzał. Skończył szkółkę w Kamionce Strumiłłowej. Skończył „wydziałówkę” w Radziechowie, skończył czteroletnie seminarium nauczycielskie we Lwowie, ciągle powtarzając: że wprawdzie uczy się na nauczyciela, ale nauczycielem nie będzie; będzie księdzem. Na rok przed ukończeniem seminarium zgłosił się do Franciszkanów. Ci go jednak nie przyjęli. Powiedzieli: zgłoś się po skończeniu i z łaciną (łaciny w seminarium nie uczono). Minał rok – Katarzyniec dzwoni znowu do furty. Ma maturę i zna łacinę, że i Cycerona umie tłumaczyć. Pracowity musiał być nielada, ale też i zdolności Bóg mu widać nie poskąpił.

25 sierpnia 1908 r. znika Józef Katarzyniec, pojawia się brat Wenanty. Kiedy trafił w ciżbę, początkowo utonął w niej niby w morzu. Gdzieś tam tylko zauważono, że jest braciszek, powolny jak „mumie egipskie”, co nalewając księdzu podczas Mszy św. wino, nie trafił do kielicha, ale wylał wszystko na ziemię. Ale powoli wyrastał nad środowisko. Jeszcze był w nowicjacie a już mówiono o nim z uznaniem.

Po nowicjacie trafił brat Wenanty do Krakowa na studia teologiczne. 2 czerwca 1914 r. otrzymał święcenia w kościele franciszkańskim w Krakowie Prymicje zbiegły się prawie z wybuchem wojny.

Od września 1914 r. do sierpnia 1915 r. O. Wenanty pełni obowiązki wikariusza w parafii w Czyszkach. Potem – widać się nadawał do tej trudnej roli – 26-letni ojciec został magistrem nowicjuszków.

Wyszło spod jego rąk jedno, potem drugie pokolenie kleryków... Niby nie taka znów praca, A przecież O. Wenanty pracując, gasł w oczach. Musiała być w nim jakaś choroba, na której leczenie szkoda było czasu, były wysiłki wielkie, by i w pracy wychowawczej i w pracy

duszpasterskiej, którą prowadził równocześnie, zrobić jak najwięcej. Dość, że w końcu O. Wenantego wysłano na odpoczynek, na „mleczko” (nie, nie na „mleczko”; O. Wenanty lubił mówić

prosto bez „dziubdziania się – po prostu na „mleko”) – na wieś. Pojechał zimą 1920 r. a w rok potem 31 marca 1921 r. już go nie było...

I to wszystko? – spyta czytelnik. Wszystko. A świętość? „Aby kanonizować sługę Bożego – mówi Ojciec św. Benedykt XIV wystarczy mieć dowód, że uprawiał wzniosłe i bohaterskie cnoty, do których przedstawiała mu się sposobność odpowiednio do warunków, stanowiska i stanu jego osoby” (De beatificatione et canonisatione sanctorum).

Nie trzeba cudów (przynajmniej za życia). Nie trzeba daru proroctwa. Prorocy przyszłości mylili się często i rzadko bywali świętymi. Nie trzeba wielkich umartwień. „Nie silił się na czyny nadzwyczajne...” Nie trzeba męczeństwa. Wprawdzie każdy święty jest męczennikiem, ale chodzi o męczeństwo serca, a nie ciała.

Więc świętość?... Tak – świętość to tylko konsekwentne życie katolickie. W pierwszych latach chrześcijaństwa nazywano tym mianem wszystkich ochrzczonych. Nasz Kościół jest Kościołem świętych dlatego, że tylko on ma świętych.

Chcieć opisać świętość O. Wenantego trzeba by przebiec całe jego życie – tyżące drobnych, codziennych umartwień, aktów pokory, aktów miłosierdzia. Książkę o nim napisał kiedyś O. Alfons Kolbe (brat męczennika z Oświęcimia). Opierała się ona na osobistych wspomnieniach, ponieważ Kolbe był nowicjuszem pod magisterską ręką Katarzyńca. Trzeba by ją właściwie w całości powtórzyć. Ale skoro nie ma na to miejsca, zacytujmy z niej jedno tylko wydarzenie malujące charakterystyczne cechy pedagogiki O. Wenantego.

Pewnego razu po pracowni spędzonym Wielkim Tygodniu grono nowicjuszów zgłasza się do swego magistra po dobrze zasłużoną pochwałę. Tymczasem – wbrew oczekiwaniom magister jest niezadowolony. Każe nowicjuszom rozejść się po celach i odprawić „dyscyplinę” za karę.

Żądanie zdumiewające i oburzające. Klerycy odchodzą z burzą w sercu. W celach przełamują się w ciągu długich minut, zanim każdy zmusi się do odcierpienia niezasłużonej kary. Gdy z powrotem wracają do O. Wenantego, ten wita ich radosnym uśmiechem.

„Wystawiłem was na przykrą próbę, mówi, ale chciałem się przekonać, czy nie domieszała się do służby Bożej próżna chwała...”

Kto umiał w ten sposób podejść do drugich, musiał nieraz przedtem wypróbować tę próbę na sobie samym. Pozorne wszystko tak łatwo przychodziło O. Wenantemu. Pozornie był doskonały bez żadnego wysiłku. Dobra natura szła w parze z najlepszymi intencjami.

O ileż prościej jest zdobywać dobro z wielkim trudem! „Łatwość – mówił kard. Newman – to niebezpieczeństwo!” Dobro, które przychodzi bez kłopotu, rzadko jest prawdziwym dobrem. Dobro, które nam się wydaje dobrem, dobro, któremu służąc zbieramy honory i laury, staje się dobrem niebezpiecznym. Zaczęliśmy mu może służyć myśląc tylko o nim, ale nieznacznie zamiast jemu być wiernymi – służymy swojej chwale. Póty jest wszystko w porządku, póki odróżniamy dobro i siebie. Gdy „my” i „dobro” stają się w naszej wyobraźni jednym, sprawa robi się groźna.

Katolik jest często dumny, że służy wielkiej, największej sprawie. Ale ta duma usprawiedliwiona jest tak długo, jak długo człowiek służy Bogu a nie swemu zadowoleniu ze służenia Bogu.

Wenanty Katarzyniec należał do ludzi, którzy nie swojej chwale; ale wyłącznie Bogu ofiarowują swe wielkie zdolności. „Ojciec przewyższył mnie i pod względem umysłowym i w postępie na drodze doskonałości, czuję, że nie dorastam do tej miary co Ojciec...” – pisał

w porywie pokory w 1919 r. do O. Maksymiliana Kolbego. Nic od człowieka – zdawało się postawił sobie zasadę postępowania.

Jeśli w końcu O. Wenanty zostanie świętym, będziemy w nim mieli patrona walki o czystą sławę Bożą, nie zanieczyszczoną pragnieniem szukania własnej chwały czy zadowolenia. O. Katarzyniec tak zniknął sam w swym dziele, że nawet porządnej jego fotografii nie ma w zgromadzeniu. Ale im mniej go widać, tym więcej go czuć. Święci wpadają w wodę jak kamień, by wystąpić z niej skałą.

---

Dobraczyński J., *Wenanty Katarzyniec nadchodzący święty*, RN 7(1950)201-203.